

MIŁOSIĘRDZIE JEZUSA, OGARNIAJĄCE LUDZKIE CIERPIENIE

Chcę tu mówić tylko o miłosierdziu, którego przedmiotem jest ludzkie cierpienie, a nie grzech. Cierpienie, które dotyka człowieka i go niszczy, ów paraliż, który nieubłaganie osłabia jego żywotność, te okowy, które nie pozwalają mu oddychać pełną pierśią i które w każdej sekundzie zdają się opasywać sobą coraz to nowe obszary i ścierać je na proch.

To prawda, że grzech jest czymś jeszcze gorszym. «Nie bójcie się tych — mówi Jezus — którzy zabijają ciało, lecz duszy zabić nie mogą. Bójcie się raczej Tego, który duszę i ciało może zatracić w piekle» (Mt 10, 28). Jednakże grzech, zarówno ten, który popełnia człowiek, jak również ten, który musi on znieść ze strony innych, zdaje się nie posiadać tej niszczycielskiej mocy. Odgrywa w nim wielką rolę wolna wola, a świat nadal pozostaje zrozumiały. Chciałem go: jest to z pewnością okrutna satysfakcja, ale pozostaje przynajmniej to zadowolenie, że się nie przestaje być człowiekiem, że nadal można widzieć i oceniać. Kiedy zaś cierpienie opanowuje całego człowieka, nie jest się już w stanie ani oceniać, ani widzieć. Nie pozostaje nic innego, jak tylko żalić się i wołać, dopóki sił nie zabraknie.

Tak, wołać, jak to już czynił Hiob: „Ciebie błagałem o pomoc. Bez echa” (Hi 30, 20), „Kto zechce mnie wysłuchać? Oto podpis: «Wszchemocny odpowie»” (31, 35).

Wołać tak, jak wołał także Jezus: „O godzinie dziewiątej Jezus zawołał donośnym głosem: *Eloi, Eloi, lema sabachthani*, to znaczy: «Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?»... Lecz Jezus zawołał donośnym głosem i oddał ducha” (Mk 15, 34. 37).

Na wołanie Hioba — jak się zdaje — Bóg odpowiada, lecz jest to odpowiedź, która odwraca pytanie: „Przepasz no biodra jak mocarz! Będę cię pytał — pouczysz Mnie” (Hi 38, 3; 40, 7), i Hiob czuje, że wobec Boga powinien zamilknąć: „Jam mały, cóż Ci odpowiem? Rękę przyłożę do ust. Raz przemówiłem, nie więcej, drugi raz niczego nie dodam” (40, 4-5).

Jezus natomiast umarł, nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, a to milczenie, w którym możemy słusznie wyczuć bolesną otchłań przerażenia napawającego ostatnie chwile Jego życia, pozostaje dla nas pewnym upomnieniem: przestrzega nas ono przed zastępowaniem swymi własnymi słowami odpowiedzi Boga, której On

sam nie chciał dać, przestrzega przed błędnym przekonaniem, że nasze słowa mogą wyjść naprzeciw Jego milczeniu.

To prawda, że milczenie Boga na Kalwarii przygotowywało niesłychaną odpowiedź, a nawet coś nieskończenie więcej niż odpowiedź: przyjęcie Syna przez Ojca, wylanie radości Bożej na Ukrzyżowanego. To prawda, że ze swej strony Ukrzyżowany przyszedł po to, by swych uczniów napełnić radością i by wyjaśnić jej przyczynę: „Czyż Mesjasz nie miał tego cierpieć, aby wejść do swojej chwały?” (Łk 25, 26). Ewangelista jednak daje do zrozumienia, że wyjaśnienie to polegało na ponownym odczytaniu Starego Testamentu. Wygłoszone przez Piotra mowy, mające na celu przedstawienie męki i zmartwychwstania Jezusa, zawarte w pierwszych rozdziałach *Dziejów Apostolskich* (2, 14-36; 3, 13-26; 4, 10-12; 5, 30-32; 10, 36-43), pokazują konkretnie, jaki charakter miało owo wyjaśnienie: chodziło w nim o ukazanie ciągłości pomiędzy wydarzeniem krzyża a postępowaniem Boga Izraela, o uwielbienie wielkości Tego, którego wyroki są niezbadane, a drogi nie do wyśledzenia (por. Rz 11, 33). Jeśli się nie chce wypaczyć zamysł Boży, jeśli się pragnie okazać szacunek wobec tych, którzy cierpią, należy zaniechać wyjaśnień. Aczkolwiek pozostaje jeszcze coś, co można uczynić: patrzeć. Patrzeć na Jezusa przed Jego cierpieniem i w czasie cierpienia. Albowiem cierpienie, zarówno Jego własne, jak też otaczających Go ludzi, zajmuje zbyt wiele miejsca w Jego życiu, aby można było o nim zapomnieć. Patrzeć z tym większą uwagą, im bardziej On sam, tak bardzo pogrążony w cierpieniu, pokrywa je dyskretnie milczeniem. On nie chce tłumaczyć, a to, co mówi, wciąż nam nie wystarcza. Nie wyjaśnia nawet wtedy, gdy ludzie wyraźnie o to Go proszą: „Czyż myślicie, że ci Galilejczycy (zmasakrowani przez Piłata) byli większymi grzesznikami niż inni mieszkańcy Galilei, że to ucierpieli? Bynajmniej, powiadam wam... Albo myślicie, że owych osiemnastu, na których zwała się wieża w Siloam i zabiła ich, było większymi winowajcami niż inni mieszkańcy Jerozolimy? Bynajmniej, powiadam wam” (Łk 13, 2-5). „Ani on nie zgrzeszył, ani rodzice jego, ale stało się tak, aby się na nim objawiły sprawy Boże” (J 9, 3). Jedy- nym Jego wytłumaczeniem jest zatem zwrócenie uwagi: „stało się tak, aby się na nim objawiły sprawy Boże” (J 9, 3); „aby Syn Boży został otoczony chwałą” (11, 4). Jest to tajemnica Boża, niezgłębione jeszcze tajniki, które mają jednak zajaśnieć i objawić oczekiwane oblicze, a jest nim niewyobrażalnie wielka chwała, która napełni stworzenie Boże.

Abyśmy umieli zobaczyć tę chwałę, musimy przypatrzeć się, jaki wzór do naśladowania pozostawił nam Jezus.

W morzu cierpienia

Cierpienie stanowi nieodłączną część codziennego życia Jezusa. „Gdziekolwiek wchodził do wsi, do miast czy osad, kładł chorych na otwartych miejscach i prosił Go, żeby choć frędzli u Jego płaszcza mogli dotknąć” (Mk 6, 56). Trzeba tu niewątpliwie brać pod uwagę narracyjną technikę Ewangelisty, tego typu uogólnienia mogą bowiem pociągać za sobą pewną niedokładność w opisie czy też pewien stopień przesady. Wyrażają one jednak niezbitą prawdę: Jezus wszędzie napotyka ludzkie cierpienie. Można kwestionować historyczny charakter tego czy owego cudu, kiedy jednak zamierza się w ogóle odrzucić cuda działane przez Jezusa lub sprowadzić je do sporadycznych tylko wyjątków, wówczas ukazuje się w krzywym zwierciadle Jego oblicze i samo Jego istnienie. Wówczas ogranicza się bowiem Jego działalność do przepowiadania słowa i czyni się z Niego niezrównanego tylko rabina. Jeśli jednak mówi On tak prawdziwie o egzystencji ludzkiej, jeśli tak głęboko cieszy się wraz z tym, kto miał szczęście znaleźć skarb, a smuci się z tym, kto go utracił, jeśli sam przeżywa lęk ojca z powodu syna, który nie daje o sobie znaku życia, to tylko dlatego, że żyje pośród ludzkich dramatów i jako pierwszy okazuje swe uczucie.

Jezus, otoczony chorymi, jest przede wszystkim człowiekiem, którego serce doznaje głębokiego uczucia. Cierpienie ludzkie dociera do głębi Jego serca, w związku z czym wzmianka o powstającym w takich okolicznościach uczuciu jest niejako jednym z powtarzających się w Ewangelii refrenów (Mt 9, 36; 14, 4; 15, 32; 20, 34; Łk 7, 13; 10, 33). Jego wrażliwość jest dokładnie taka sama jak nasza; podobnie jak my, On też łatwiej może znieść cierpienie, którego nie jest świadkiem. Może pozwolić na to, by Jego przyjaciel Łazarz umarł, ale tylko dlatego, że nie jest obecny przy nim w czasie agonii (J 11, 15). Kiedy zaś słyszy szloch jego sióstr i żalobę tłumu, nie może obronić się przed napływającą falą wzruszenia i również On zaczyna płakać (J 11, 33-36).

Stosowany przez Niego sposób uzdrawiania wystawia Go na wszystkie cierpienia. On nie uzdrawia z daleka, nie postępuje tak, jak taumaturdzy, którzy dokonują cudownych znaków na wysokim podium; nie koncentruje na sobie uwagi widzów; nie wzywa chorych do tego, by gromadzili się wokół Niego. On zniża się do poziomu tych, którzy cierpią; pozwala, by owładnęła Nim ich nędza, by ogłuszyło Go ich wołanie, by dotknęły Go ich ręce i rany. W każdym miejscu napotyka to samo, tak że w owej monotonii zmieniają się tylko choroby i sposób życia poddanego zagładzie. Wszędzie towarzyszy Mu odrażająca twarz umęczonej ludzkości.

Aczkolwiek jest jeszcze inna twarz: owa promienna twarz uzdrowionych, którzy wracają do swego domu, krzycząc z radości i opowiadając wszystkim dokoła swą przygodę. On jednak z trudem znajduje czas na to, by uczestniczyć w ich radości. Wszak wielu innych prosi Go już o okazanie miłosierdzia. Albowiem nie da się wyczerpać ludzkiej nędzy i dlatego im więcej ludzi doznaje ulgi, tym bardziej zakłóca równowagę w świecie wszystko to, czego nie może uczynić.

Tak, nawet Jezus doświadczył pewnego ograniczenia. Uzdrowił wprawdzie ogromne ilości chorych, ale przecież nie położył kresu samej chorobie i jedynie trzech umarłych przywołał z powrotem do życia. Owszem, wystarczyło to, żeby pokazać, iż przyszedł po to, aby dać życie, i w ogóle, że był zdolny obdarzyć życiem. Było to jednak zbyt mało, aby ludzie uwierzyli, że przyszedł pokonać śmierć, a ziemię przemienić w Eden.

Jeśli jednak całkowicie zanurza się w ludzkie cierpienie i zniża się do poziomu tych, którzy cierpią, jeśli pozwala na to, by cierpienie nadal królowało nad światem, to nie dlatego, że jest choćby w najmniejszym stopniu zadowolony z cierpienia. Nie wykorzystuje również swej władzy nad nim w tym celu, by wywierać presję na ludzi, by narzucić im swą obecność lub dyktować sposoby zachowania. Kładzie cierpieniu kres, ponieważ należy mu kres położyć: jest to podstawowy obowiązek, prawo, z którym się nie dyskutuje.

Prawdziwość tego sprawdza się wiele razy na kartach Ewangelii i w każdym wypadku napotykamy owo: „należy”. Kiedy pewnego razu w szabat wszedł do synagogi i zobaczył człowieka ze sparaliżowaną ręką, wiedząc, kim są owi ludzie, którzy Go śledzą i co pomyślą o Jego czynie, wyprzedził ich zapytaniem: „Co wolno w szabat: uczynić coś dobrego czy coś złego? Życie ocalić czy zabić?” (Mk 3, 4). Innym znowu razem, także w synagodze i również w dniu szabat, kiedy uzdrowił kobietę chorą od lat osiemnastu, Jego sposób rozumowania jest taki sam: „Czyż każdy z was nie odwiązuje w szabat wołu lub osła od żłobu i nie prowadzi, by go napoić? A tej córki Abrahama, którą szatan osiemnaście lat trzymał na uwięzi, nie należało uwolnić od tych więzów w dzień szabat?” (Łk 13, 15-16). Wydaje się, że w obu wypadkach można odpowiedzieć bardzo prosto. Sparaliżowana ręka nie jest sprawą życia lub śmierci. Albo: czyż nie można było poczekać kilka godzin na uzdrowienie kobiety chorej od osiemnastu lat?

Ściśle mówiąc, nie. I właśnie o tym chciał przekonać Jezus. Kiedy jest się świadkiem cierpienia i można w jakikolwiek sposób mu ulżyć, należy to czynić, i to prędko; należy czynić wszystko,

co jest możliwe, nie tracąc ani chwili czasu. To, że rzeczy owe dzieją się w szabat, stanowi ponadto dla Jezusa dodatkowy powód do działania, ponieważ szabat jest dniem Bożym, a zasada ta jest samą zasadą działania Bożego, działania Ojca, który przychodzi w osobie Jezusa Chrystusa i przez Niego wskrzesza umarłych i ożywia (por. J 5, 18. 21). W samej rzeczy chodzi o ocalenie lub zabicie życia, a między tymi dwiema rzeczywistościami wybór powinien być zdecydowany.

Dla Jezusa w cierpieniu (w każdym cierpieniu) jest obecna śmierć i nie może On tolerować tego zwycięstwa, nawet jeśli może się ono zdawać mało znaczące. Można by powiedzieć, że dla Niego jest to rzecz fundamentalna, nad którą nie wolno nawet dyskutować.

Miłosierdzie

A jednak chodzi tu o coś zupełnie innego, niż o rzecz fundamentalną. Jezus nie działa według zasad i nie ma w Nim ani napięć, ani też surowości, które znamionują ludzi zasad, owych ludzi, którzy nie potrafią uczynić najmniejszego gestu bez usprawiedliwienia go choćby jednym zdaniem. Oczywiście, zna On pewne zasady i jest im wierny; one jednak nie krępują Go i nie dyktują sposobu postępowania, lecz zbiegają się z Jego osobą i z Jego spontanicznymi gestami. To właśnie dlatego w większości wypadków najpierw następuje czyn, bezpośrednia reakcja na wydarzenie, zaś ogólna zasada postępowania zostaje sformułowana potem i tylko po to, aby ludzie Go zrozumieli i uzyskali odpowiedź na swe pytania.

Uzdrowienia są przykładem takiego właśnie stanu rzeczy. Dzieją się spontanicznie, albowiem Jezus nie czuje się związany żadną powinnością czy kalkulacją. Ich źródłem jest przede wszystkim miłosierdzie, jest nim Jego wrażliwy umysł i serce. Ponieważ rani Go cierpienie, przeto każdą chwilę przeznaczają na to, by podążać na pomoc człowiekowi. Nie ma w Nim nawet cienia niemocy, żadnego punktu słabego, poprzez który mogłaby Go zdradzić Jego własna wrażliwość. Pozostaje całkowicie sobą nawet w czasie głębokiego wzruszenia. Jest dokładnie tak, jak mówi paradoksalne wyrażenie z Ewangelii według św. Jana, opisujące Jezusa stojącego przed grobem Łazarza: „wzruszył się w duchu”, „ponownie okazując głębokie wzruszenie przyszedł do grobu” (J 11, 33. 38).

W samej rzeczy, najbardziej ludzkie i najbardziej naturalne wzruszenie Jezusa wypływa zawsze z głębokości Jego bytu; z tego, kim On jest. Ma ono źródło w Synu, który wszystko otrzymuje

od Ojca i który poprzez swą najbardziej autentyczną osobowość ludzką objawia tylko Ojca. Wszelka wrażliwość Jezusa na cierpienie, wyrażająca istotę Jego miłosierdzia, wszelkie uczucie spowodowane spotkaniem z ludzką nędzą, pochodzą w Nim od Ojca. Właśnie ten fakt tłumaczy zależność, wyrażoną w Ewangelii Janowej w sposób, który można by zrozumieć opacznie: „Syn nie mógłby niczego czynić sam od siebie... Ojciec ukazuje Mu to wszystko, co On sam czyni... Ja sam z siebie nic czynić nie mogę” (J 5, 19. 20. 30). Jezus nie stoi przed Ojcem jak uczeń, który słucha swego nauczyciela, jak sługa, który nieruchomo czeka na rozkazy. Nie móc nic uczynić bez Ojca nie oznacza: być sparaliżowanym aż do pojawienia się impulsu; oznacza to: być całkowicie sobą i zarazem wyrażać w pełni wolę Ojca.

Kiedy Jezus przyjmuje chorych, kiedy drży w obliczu ich cierpienia, kiedy płacze, napotykać na swej drodze śmierć, zawsze objawia wtedy miłosierdzie samego Ojca, ponieważ jest świadomy tego, co od Niego otrzymał. „Boga nikt nigdy nie widział”, nikt nie widział Go, by cierpiał lub się wzruszał, lecz „Ten Jednorodzony Bóg, który jest w łonie Ojca” (J 1, 18) wprowadza nas w Jego tajemnicę współczucia okazywanego cierpiącemu człowiekowi, w tajemnicę wrażliwości czulej i tkliwej. Radość pasterza, który odnajduje zagubioną owcę, radość ojca rzucającego się na szyję synowi, o którym sądził, że zaginął, wszystkie te obrazy kreśli Jezus na podstawie swego ludzkiego doświadczenia; w swej istocie jednak pochodzą one od Ojca i mają za zadanie ukazać, jaki jest Bóg.

W tym miejscu pojawia się jednak pytanie: Jeśli należy wziąć na serio słowa Chrystusa na temat wrażliwości Boga, jeśli powtarzającym się raz po raz uzdrowieniom należy przypisać znaczenie takie, jakie On sam im nadaje, to czyż nie powinno się — aby pozostać konsekwentnym — zrelatywizować, albo przynajmniej stonować inne wypowiedzi, które zdają się wyrażać coś zupełnie przeciwnego, inne sposoby zachowania, które przybierają odmienny kierunek? Wszak Jezus powiedział także: „Błogosławieni wy, którzy teraz głodujecie... Błogosławieni wy, którzy teraz płaczecie” (Łk 6, 21), a chyba nie będzie to nadużyciem, jeśli owe słowa zakończymy stwierdzeniem: „Błogosławieni wy, którzy cierpicie!” Jezus nauczał z natarczywością i powagą, które nie dają żadnego innego wyboru: „Jeśli kto chce pójść za Mną, niech się zaprze samego siebie, niech weźmie krzyż swój i niech Mnie naśladuje” (Mk 8, 34). „Kto nie nosi swego krzyża, a idzie za Mną, ten nie może być moim uczniem” (Łk 14, 27). Jak jednak uczynić z męki i krzyża Jezusa marginalny epizod Jego egzystencji? Chrześcijaństwo, które nie chciałoby ukazywać światu Jezusa Chrystusa

ukrzyżowanego (Ga 3, 1) oraz które postanowiłoby poznać coś innego niż „Jezusa Chrystusa, i to ukrzyżowanego” (1 Kor 2, 2), byłoby już tylko karykaturą i martwym szkieletem.

Należy zatem pogodzić ze sobą owe dwie na pozór rozbieżne wypowiedzi, z których każda zdaje się tkwić w samym sercu Ewangelii: odrzucenie cierpienia i wybór cierpienia. Problemu tego nie można rozwiązywać, odwołując się do paradoksalnego języka Ewangelii, do tego, że Jezus z upodobaniem używał radykalnych zwrotów. Nie chodzi tu bowiem tylko o słowa, lecz o konkretne czyny i zdecydowane gesty. Uzdrawienia z jednej strony, męka zaś z drugiej — są to bloki zbyt jednolite, aby można było nimi manipulować.

Zdaje się jednak, że istnieje droga wyjścia ze sprzeczności. Jest nią przyjęcie wszelkiego cierpienia dotyczącego nas samych oraz troska o to, aby we wszelki możliwy sposób oszczędzać innym tego cierpienia. Nie da się zaprzeczyć, że takie rozwiązanie idzie po linii Ewangelii i że obu wymogom pozostawia ich pierwotną siłę. Ten, kto wybiera taki sposób postępowania, będzie mógł osiągnąć zamierzony cel.

Wy tłumaczenie to jednak nie jest wciąż wystarczające, nie wyjaśnia bowiem, w jaki sposób cierpienie, które jest złe, jeśli chodzi o innych, nagle staje się dobre, kiedy w grę wchodzimy my sami. To prawda, że nie trzeba zrozumieć wszystkiego, aby być wiernym Ewangelii, i że często „wiedza wbija w pychę, miłość zaś buduje” (1 Kor 8, 1). A może tym, czego brakuje formule: „wziąć wszystko na siebie, wszystkiego zaoszczędzić innym”, jest właśnie miłość? Mówi ona o cierpieniu tak, jakby było samoistną rzeczywistością, złem, którego należy unikać względem innych, wartością zaś, której należy szukać w sobie. W takiej perspektywie trudno jest jednak uniknąć sprzeczności, nie mówiąc już o tym, że ta perspektywa nie jest ewangeliczna. Ewangelia nie stawia cierpienia na pierwszym miejscu, aby potem zapytać, jaką postawę należy zachować wobec niego. Punktem wyjścia w Ewangelii są ci, którzy cierpią, oraz ci, którzy chcą naśladować Jezusa. Ewangelia ukazuje Jezusa otoczonego cierpiącymi i biorącego na siebie cierpienia. Jest to całkowicie inna perspektywa. Nie tylko dlatego, że abstrakcyjną rzeczywistość cierpienia zastępuje konkretnymi, cierpiącymi osobami, ale ponieważ stawia w centrum osobowy związek Jezusa z tymi, którzy cierpią, czyli żywą rzeczywistość miłości.

W takim ujęciu staje się jasny sens błogosławieństw: „Błogosławieni, którzy płaczą... Błogosławieni, którzy łakną!”. Nie wolno zmieniać żadnego ze słów, lecz należy iść dalej, aż do formuł pocieszenia: „albowiem oni będą pocieszeni... oni będą nasyceni”

(Mt 5, 5-6). Radość smutnych i łaknących ma źródło nie w samym smutku i głodzie, lecz polega na tym, że się jest zdolnym przyjąć tego, kto przychodzi, aby nakarmić i pocieszyć. Błogosławieństwa zawierają pełną prawdę, gdy wychodzą z ust Jezusa, gdyż już w chwili ich wypowiedzenia rzeczywiście przynosi On światu chleb i radość. Pozostają one prawdziwe aż do skończenia świata, zawsze, gdy ci, którzy je powtarzają, skutecznie głosząc wraz z nimi Ewangelię, rzeczywiście ofiarują światu życie i radość.

Wybrać drogę miłosierdzia, zanosić ludziom chleb i radość, oznacza z pewnością: usuwać cierpienie, a wybór ten idzie ściśle po linii ukazanej na początku, po linii uzdrowień. Lecz jeśli rzecz bierze się na serio, wybór ten zakłada także pewną dozę cierpienia, którego wcześniej nie da się zmierzyć: można jedynie już w punkcie wyjścia zgodzić się na nie bez stawiania mu jakichkolwiek ograniczeń. To zaś ukierunkowuje nas natychmiast na drugą postawę, której przykład dał nam sam Jezus, a którą jest przyjęcie męki i krzyża. Jeśli się pragnie miłosiernie oszczędzić innym cierpienia, należy koniecznie przyjąć je na siebie.

Nie chodzi więc o to, by szukać cierpienia, ani o to, by je usuwać, ani też o to, by je przygarniać w swe ramiona. W takim wypadku czynilibyśmy z siebie bożka okrutnego, który pożera ludzi, albo bożka nieczułego, naznaczonego nieludzkim spokojem. Jezus, doskonały Obraz Boży, pogromca wszystkich bożków, nie patrzył na cierpienie i nie nakazywał nam patrzeć na nie. On patrzył na ludzi, których należało uzdrowić; i również nam pozostawił ludzi, których w duchu miłosierdzia mamy uzdrawiać, karmić i pocieszać.

Cierpieć z cierpiącymi

Opowiedzieć się za cierpiącymi oznacza: wybrać drogę cierpienia. Również pod tym względem Jezus dał przykład swoim życiem. Na pierwszy rzut oka wydawałoby się wszelako inaczej. Lekarz może kosztem swego życia biec, aby uzdrawiać chorych lub, by przynajmniej usiłować ich uzdrowić. Jezus nie zna tych problemów: wystarczy jedno słowo, a choroba zostaje pokonana. A jednak nie powinno się zbyt pochopnie odróżniać Go od owych lekarzy i od ich wysiłków, gdyż także On zechciał żyć w świecie chorych i przebywać z nimi.

On zapragnął przede wszystkim pochylić się nad ich troskami, pokazać, że ich zdrowie i życie posiada wielkie znaczenie, przed którym na drugi plan schodziły najświętsze obyczaje, a nawet sam szabat — po to, aby przywrócić prawdziwą wolę Boga, który stworzył i szabat dla odpoczynku, i życie swoich stworzeń. Kon-

sekwentnie realizując swój zamiar, Jezus zdecydowanie rozprawił się z kontrowersyjnymi punktami współczesnego Mu judaizmu: obnażał hipokryzję tych, którzy uchylali przykazanie Boże po to, aby pozostać wiernymi wobec ludzkiej tradycji (por. Mk 7, 8); wystawiał się na gniew arystokracji; świadomie podążał w kierunku prowadzącym niechybnie do śmierci (por. Mk 3, 6).

Faktem jest, że uzdrowienie było dla Niego łatwym gestem, który nie wymagał użycia wszystkich sił. Przebaczenie natomiast jest czymś całkowicie innym i wystarczy, by Jezus rzekł jeden tylko raz: „odpuszczają ci się twoje grzechy”, aby słuchacze natychmiast oskarżyli Go o występki zasługujący na śmierć: „On bluźni!” (Mk 2, 5-6). Nie chodzi tu o to, że być może łatwiej jest powiedzieć: „Wstań i chodź”, niż: „odpuszczają ci się twoje grzechy” (Mk 2, 9). Odpuszczenie grzechów wymaga użycia mocy nieskończenie bardziej przerażającej niż sama choroba; oznacza ono zanurzenie się w samo sedno ludzkiego zła; oznacza także stawienie czoła stawianemu przez niego oporowi i narażenie się na jego odwet. W rzeczywistości bowiem, o ile serce, które słucha Boga i Mu odpowiada, pozostaje nietknięte, Jezus sprawia, że bez najmniejszego oporu staje się Mu posłuszne cierpienie najbardziej dotkliwie i trąd najbardziej odrażający, nawet jeśli choroba zniekształca ciało i zaciemnia duszę. Jeśli jednak skażone jest serce, jeśli duch jest zdeformowany, oznacza to, że zagnieździł się grzech, i walka, którą Chrystus musi podjąć, staje się potyczką na śmierć i życie, przeobraża się w agonię.

Uzdrowienie nie zależy już zatem od najbardziej skutecznych środków, od najstaranniejszej opieki czy też od obecności i od słów Tego, który jest samym zbawieniem i życiową siłą człowieka. Uzdrowić oznacza: przeniknąć człowieka aż do punktu najbardziej skrytego i obwarowanego, „aż do rozdzielenia duszy i ducha” (Hbr 4, 12), do miejsca, które jest źródłem wszelkich chorób plamiących człowieka i czyniących go nieczystym: aż do serca (Mk 7, 21-22).

Można powiedzieć, że przeciwko tym chorobom Jezus pozostaje bezbronny i bez środków. W każdym razie trzeba, aby nie tylko im się przeciwstawił i je ujawnił, lecz także, by wpadł w ich ręce. „Syn Człowieczy musi wiele cierpieć” — powtarzane niby refren, słowa te wyciskają piętno na całej drugiej części publicznej działalności, poczynawszy od wyznania Piotra pod Cezareą Filipową aż do męki (Mk 8, 31; 9, 12. 31; 10, 33. 38. 45; 14, 21. 49). Podczas gdy pierwsze rozdziały obfitowały w uzdrowienia i sukcesy Jezusa pośród tłumów, droga do Jerozolimy prowadzi Go ku owej godzinie, w której musi być wydany w ręce ludzi i poddany najbardziej wymyślnym przejawom okrucieństwa i nienawiści.

Lekarz może zachować pewien dystans w stosunku do choroby; wystarczy też jedno słowo Jezusa, aby zupełnie ustąpiła; natomiast zło, które płynie z serca człowieka, zasadza się na o wiele głębszym poziomie i wymaga, by je traktowano w sposób bardziej bolesny zarówno dla lekarza, jak też dla chorego. Kiedy człowiek wybrał drogę przeciwną Bogu, kiedy kłamstwo i wola niszczenia opanowały jego serce, wówczas potrzebna jest interwencja samego Boga; potrzeba, aby On towarzyszył swemu stworzeniu na jego drodze zagłady, aby w swym własnym ciele i w samym swym sercu doświadczył ciężaru jego nieszczęścia i tego wszystkiego, co może przysparzać mu cierpienie. Wtedy Bóg zna „bezpośrednio” jego zło, wtedy też może powiedzieć z głębokości swego miłosierdzia: „Odpuszczają ci się twoje grzechy”. Gdy stworzenie pozna, że ten, który odpuszcza grzechy, sam przebył jego drogę i cierpiał daleko więcej niż ono, wtedy Bóg może sprawić, że Go zrozumiemy.

tłum. ks. Franciszek Mickiewicz SAC